Czubek periodyczny

Skład redakcji: **Nr 4/2015 29.04.2015**

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg



Bartłomiej Figura

Dla tej, która...

Panienko, księżyc dziś nad nami,
a stepy pod nogami inne.
Stół czy wciąż stoi tak jak wtedy,
a drzwi otworem czy gościnne?

Przyjęty w tą marcową noc,
uratowany kraj widziałem,
marzyłem, które słowa ja
i po religii co myślałem?

Czy pomni po miesiącach ktoś,
co było nad czerwonym niebem,
gdy broń palącą, ognie dział
- ja walczyć o zamarzłym chlebie.

Panienko, któraś moje wiersze
przed wzrokiem obcych uchowała,
któraś mi wsparciem była wtedy,
któraś mnie wówczas wysłuchała.

I nie dziwiło Cię nic nadto,
przyjęłaś jak codzienność naszą
Czeczenię moją, politykę i całą resztę
- wszystko razem.

Przyjęłaś nawet słowa trudne
- „łupanie oczu", a spod powiek
się tylko radość wydostała
mówiłem wszystko – właśnie Tobie.

Jednego tylko rzec nie mogłem
- i całe szczęście, Bóg uchował
- lecz czy byś była sobą, gdybyś
nie usłyszała w każdym słowie.

W każdym spojrzeniu i uśmiechu,
w godzinach wspólnie przepędzonych,
w największych tajemnicach wieku,
w ufności mojej, w tych rozmowach.

Różni są ludzie, wiem to przecież,
spotkałem w życiu wielu ludzi.
Wam dziś, koledzy z Tuwy stepów,
pragnę ja głosić wieść o cudzie.

Pisać po polsku i kirgisku,
tuwińsku, fińsku, osetyjsku,
chińsku, ujgursku i lezgińsku,
w mnogości głosów Indii tworzyć.

Różni są ludzie, wiem to przecież,
różne są pieśni z wysp, rzek, lądów,
różne doktryny są poglądów,
a słowo brzmi i jest sygnałem.

Nie zmienią tego ni dekrety,
ani prikazy władców królestw,
nie zniszczą pieśni żadne mury,
wiatr będzie niósł zielenią parków.

Nie zmieni tego żaden władca,
który wyrzuci kłamstwo w pole,
step barwą słów co dzień zarasta,
w tajdze się śnieżą piękne słowa.

Nie zmienią tego władcy królestw,
Panienko, napisz utwór nowy,
i graj te stepy Twoje wolne,
ja opisuję stepy moje.

I inne drogi i marzenia,
wiosna się budzi, step raduje,
księżyc wśród gwiazd na niebie chodzi,
a ja Cię żegnam i dziękuję.

Panienko, księżyc dziś nad nami
i gwiazdy bez wątpienia inne,
przyjmij, Ty jedna z świata dam,
te wersy moje, Ty je przyjmij.

*Tuwa – oficjalnie Republika Tuwy, republika autonomiczna w azjatyckiej części Federacji Rosyjskiej, od południa graniczy z Mongolią, wszystkie inne granice są granicami z innymi jednostkami administracyjnymi państwa rosyjskiego; republika jest zamieszkiwana w większości przez Tuwińców (77%) i Rosjan (20,1%); na terenie republiki przeważającą część mieszkańców stanowią przedstawiciele rdzennej ludności, przeważając nad ludnością rosyjską i rosyjskojęzyczną; poza stolicą – Kyzyłem – język tuwiński jest językiem stosowanym powszechnie, a znajomość rosyjskiego jest słaba.



Tortury

8.00. Znów budzi mnie z letargu ten cholerny, wibrujący, przeszywający uszy dźwięk dzwonka. Znak, że zaraz będą torturować. Nie wytrzymuję. To kolejny dzień z kolei. Widzę go na horyzoncie. Oprawca się zbliża stanowczym krokiem. Atmosfera gęstnieje. Wstaję na baczność. Spuszczam swój wzrok w ziemię. W duszy błagam Boga, aby oszczędził mnie dzisiaj. Przechodzi koło mnie. Zawiało śmiercią. Przeszedł. Słyszę dźwięk klucza obracanego w zamku, przypominający o zbliżających się cierpieniach. Następnie demoniczne skrzypienie otwieranych drzwi, kojarzące się z najbliższą męką. Wchodzi. Zajmuje swoje ulubione miejsce tortur, rozkłada swe narzędzia śmierci. Wchodzimy za nim, powoli, jeden za drugim, jakby każdy chciał przedłużyć swój żywot o te marne kilka kroków. Ktoś gdzieś nerwowo się zaśmieje, ktoś inny pociągnie ostatni łyk. Powolnie każdy zajmuje wcześniej wyznaczone miejsca. O, jak mało nas tu dziś jest, jak mało nas zostało… Jestem przemęczony, zapadam w niespokojny, pełen lęków, sen. Budzi mnie jego krzyk. Znowu coś z kimś robi. Boże, on mu wtłacza coś do głowy, Jezu. Franek, chyba tak się chłopak nazywał, wygląda jakby nie zdawał sobie sprawy, że właśnie do jego głowy wpychane są rzeczy… Nie chcę dłużej patrzeć na te męki. Odwracam wzrok. Obok mnie siedzi ten szaleniec, jego On nigdy nie tyka. Szaleniec przez cały czas rysuje tajemnicze znaki na stosie kartek papieru. Te dziwne szlaczki mnie niepokoją. Choruje chłopak na głowę, szkoda mi go. Moja głowa pęka od krzyków oprawcy. Nagle słyszę krzyk inny od wszystkich. To imię dziewczyny siedzącej przede mną. Taka młoda, piękna, bardzo mi jej szkoda. Miała chyba na imię Małgorzata. Ciarki mnie przechodzą po plecach. Wiem, że On wydał wyrok. To już koniec Małgosi. Ona wstaje, powoli, i zaczyna kroczyć w jego kierunku. Zbyt dobrze wiem, jaki będzie tego finał. Uderzam z całej siły głową w ścianę, która jest po mojej prawej stronie, aby zemdleć i nie słyszeć, co się stanie z Małgosią. Robi mi się ciemno przed oczami, czuję wielką ulgę, odpływam. Nareszcie chwila wytchnienia od krzyków, mąk, tortur. Nagle z mojego słodkiego spoczynku wyrywa mnie czyjeś szarpanie. To ten szaleniec, rysujący szlaczki, patrzący na mnie swoimi małymi, przekrwionymi oczami, mówi, że mam iść do Niego. Wstaję. Powoli, chcę żyć nawet te parę sekund dłużej. Wszystko widzę jak przez mgłę, szaleńca, który mnie pośpiesza, 8.40 na zegarku, kwilącą Małgosię, trzymającą się za twarz… Odwracam od niej wzrok. Nie chcę tego, co ma się stać, tak bardzo tego nie chcę. Słyszę Jego krzyki, jak mnie pogania. Wszystko jak majaki, jak sen. Robi mi się słabo. Bierze mnie na spytki, nie wytrzymam tego. Słyszę wiele

pytań. Niech to się skończy. Odpowiadam, że nie wiem, że nie pamiętam. Już to czuję, bierze swe ulubione narzędzie, kosę. Myślę: To mój koniec. Zaczynam się modlić, ostatni pacierz. Lecz nagle słyszę dźwięk, miód na me uszy, moje wybawienie - dzwonek. Lekcja skończona.



Michał Maciąg

Nowy maj (366)

O, spójrz, jak niespodzianie przyszedł właśnie nam maj nowy.
Na pewno spodziewałaś się w tym czasie października.
Zielony przeszło od miesiąca jest gaj i gajowy,
i są zieloni maturzyści, i zielona klika.

A przyda nam się nowy maj, oj, przyda się bezsprzecznie.
Poprzedni gdzieś zaginął albo zjadły go pędraki.
Fontanna zapomniała, że zatkana jest skutecznie,
przyroda budzi się, a ja zatarłem wszystkie braki.

Jak pięknie jest pod niebem! Daj mi rękę i spójrz w górę.
Zachody słońca teraz trwają prawie dwie godziny.
Eskorta na skrzydełkach spuszcza z niebios awanturę,
więc nie myśl jeszcze, ile już we włosach masz chityny.

Porządne teraz robią maje, ciepłe i wygodne.
Nie to, co wtedy, kiedy zmarzły nawet grabie w sadzie.
Dwadzieścia cztery stopnie, słońce jasne, myśli płodne.
Jak dobrze będzie nam we dwoje stać na autostradzie!

Spójrz, jak radośnie te niewinne dzieci łapią chwile!

Znów nam nadarzy się okazja, by wymienić szyby.

Wyrosły znad bibuły mlecze żółte jak żonkile

i sympatyczny starszy pan sprzedaje w bramie ryby.

Sąsiadka z dziesiątego ma kapelusz z taaakim rondem...

Ja też ci taki kupię za czterdzieści cztery lata.

Na rondzie rosną kwiaty. Można je ożywić prądem

jak te świąteczne pomarańcze, które kryje wata.

26 kwietnia 2015 roku



Szanowny Redaktor

Z ballad dziadowskich

Ten słoik na podwórzu ciągle trwał.

Jak słoik nie zniknie na Lotniczym wał,

retencyjny wał.

I choć przeminą wieki w nylonowych blasku świec,

nam trzeba na szezlongach dwustu lec.

I nie chce nikt zaakceptować,

że trzeba będzie kontrolować,

aby słoik nie zapadał się pod grunt.

Lecz powstanie przeciw dwustu trzechset bunt.

Jeden do drugiego warczy,

że szezlongów mu nie starczy,
nie pomoże teraz nawet żaden lęk.
Było dwieście, ale jeden właśnie pękł.
Wszyscy patrzą w wielkiej trwodze,
będą leżeć na podłodze
albo jeden tylko Miszka wie, na czym.
Tokio, Bydgoszcz, Paryż, Kielce, Toruń, Rzym.
Już nieważne, nikt nie wzdycha,
wszyscy jadą do Wałbrzycha,
bo wieść poszła, że szezlongów tam jest w bród.
Na Grunwaldzkim o północy stał się cud.
Piękna pani z pięknym panem
podzielili się baranem,
a kopytka będą wiernie służyć nam.
Wszystko będzie właśnie tu i właśnie tam,
bo od wieków już dualny jest ten świat.
A od wieków znaczy, że od setek lat.
Lato było dziś gorące,
aż przegrzały się zające.
Jeden nawet za chorągiew robić chciał.
Drugi nawet na chorągwiach ciut się znał.
Trzeci nawet chorągwiami tylko żył.
Ale szef na bakier z chorągwiami był.
Wieje nam chorągiew czarna –
Vivat Niemen, Ren i Marna!
Wszak nadzieja płynie z europejskich rzek.
Oto mamy już dwudziesty pierwszy wiek,
kiedy europejskie rzeki
do mórz świata niosą ścieki,
na różowo barwiąc smutne wody mórz.

Teraz weź się lepiej, czytelniku, wzrusz,

bośmy już nie dali rady

i to koniec jest ballady,

która będzie tkwić w twym sercu niczym nóż.

* * *

Upadł kartofel na kukurydzę,

a ja się o tym mówić nie wstydzę.

Wszakże upadki żyją w nas.

Na tym polega walka klas,

że buraczane będą cuda i skandale

niczym ten słoik, który w chwale trwa na wale,

gdy zamiast chleba dają nam chlebowy kwas.

Brzęczy moneta o nieheblowany stół,

a ja Wam powiem, że w tym prawdy tylko pół.

Stół wprawdzie jest nieheblowany,

lecz trzeba dodać, że blaszany

i taki zapis stał w metryce niczym wół.

Lecz przyszedł ktoś, kto oheblować stół ten chciał,

warszawską Wolę i Ochotę również miał.

Niestraszną była praca długa,

nie szczędził hebla ani pługa,

lecz trzeba przyznać, że metrykę kiepsko znał.

To ziemniaczana bulwa przystroiła świat,

czerwonych iskier błysnął snop jak ciężki grad.

I tańczy cały lud Krakowa,

bo mocny duch i mocna głowa,

a kartoflany zacier lepszy jest niż pyry.

Nie róbmy tu, panowie, tylko jakiejś szmiry,

bo pekaes, co do Poznania szedł, już padł.



Szanowny Redaktor

Pan Stanisław – cz. 2

III

Marek zszedł do piwnicy. Powoli otworzył drugie drzwi i wkroczył na teren, który mógł kryć w sobie wiele niebezpieczeństw. Była druga w nocy. Licealista nie mógł zasnąć. Gnębiła go wizja kolejnej jedynki z matematyki czy dwójki z Business English. Z takich to powodów znalazł się nagle w podziemiach swojego bloku. Ściany były ciemne, lepkie, jak ręka pięknej dziewczyny bądź gada, który kąsa, gdy nieopatrznie zanurzysz się w mroku konfitur. Matfizyk schodził więc w dół, gdy trzeba było szukać sił, a tej jednej jedynej ciągle nie było przy nim. Co chwila zatrzymywał się i wzdychał. Nie było łatwo przemieszczać się po śliskich kamieniach. Myślał wciąż o tej chwili, o chwili, w której cały strop zaczął walić się na głowy, gdy cały sens jego wysiłków nagle zniknął. Ona obserwowała to obojętnie. A była to przecież największa jego klęska architektoniczna. W końcu jednak, odnajdując po drodze całą masę pająków dotarł do celu. Jednak światło nie paliło się. Wszechobecna ciemność powodowała dezorientację i wpływała na trzeźwość myślenia, a masa pająków lekko trzęsła się u podstawy. Niepomny przestrogi wujka, z impetem ruszył przed siebie. „Tupet jak...” – nie zdołał dokończyć. Ryk, który przenikał ściany i budził całą okolicę był głośniejszy niż taran i silniejszy niż baran. W potencjalnym świetle na czole widniałby już duży siniak.

Marek zastanawiał się, o co przygrzmocił. Macając ściany zrozumiał, że ich budowa nie może napawać optymizmem. „Stawiane w XIV wieku czy jak?” – zastanawiał się. W końcu, intensywnie myśląc, odnalazł w jamie zausznej zapałkę i zapalił ją. Nagły ogień rozświetlił podziemia, ale coś nie pasowało. Przyjrzał się i zrozumiał. Przed nim, w ułożeniu poziomym znajdował się gigantyczny pal, którego końce niknęły poza kręgiem światła. To właśnie on był sprawcę całego zamieszania. Marek miał już dość tej nocy i postanowił spędzić kolejne godziny w salonie, pracując nad projektem Jakuba. Jednak w tym momencie stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Pan Stanisław poruszył palem. Trzymał go po drugiej stronie ażurowych drzwi tak mocno, że nikt nie był w stanie mu go odebrać.

*   *   *

– Szanowny panie! – zabrzmiał ostry głos pielęgniarki, zdecydowanie nie takiej jak ta w ambulansie. – Jak dla mnie może pan tu nawet uprawiać handel zamorski, ale proszę puścić ten wężyk, bo odwodni pan Rybę.

Pan Stanisław otworzył oczy, a następnie uniósł do góry lewą rękę i rozluźnił zaciśniętą do tej pory pięść. Z dłoni wypadł centymetrowy fragment zwyczajnej łodygi i uderzył o kant prześcieradła. Następnie pan Stanisław podniósł prawą rękę. Trzymał w niej gumowy wężyk od kroplówki sąsiada, którego wypuszczać nie zamierzał. Gdyby pana Stanisława położono po drugiej stronie pana Ryby, zapewne przewód byłby wolny. Tymczasem, jego silnie zbudowana prawica nie ustępowała. Próbowano użyć mydła poślizgowego, stosowanego przy lewatywach, próbowano zaoferować inny przewód, próbowano nawet udowodnić, że wężyk tak naprawdę jest tylko zwykłym sznurkiem – nic nie pomogło. Ostatecznie to pan Ryba otrzymał nowy wężyk, a przyjął to z niewyobrażalną frustracją, wskutek której wyjął sobie wenflon i wrzucił go do stojącej na parapecie otwartego okna szklanki z wodą. Tę szklankę w czasie szamotaniny z wrogim powietrzem pan Stanisław strącił i wenflon przepadł bezpowrotnie, a pan Ryba ostentacyjnie zaczął się odwadniać. Rzecz nie działa się w zajezdni MPK.

* * *

Pan Roman, kierowca karetki, polerował drzwi swojego garażu. Mimo jego ogromnych wysiłków, blacha wciąż błyszczała kurzem w świetle wiosennego słońca. Elżbieta wyszła na balkon.

– Kochaaaanie?

– Tak, złotko? – zareagował pan Roman.

– Jakiś człowiek pragnie się z tobą widzieć.

– Oj, to nie wiesz, co masz z nim zrobić?

– Ale... on mówi, że to bardzo pilne. Chce zrobić... czekaj, mam zapisane, a! Remont nagrzewnicy.

– Remont? Tico? Nie, nie trzeba. Nagrzewnica ma się dobrze. Podziękuj za dobre chęci. – i pan Roman, zwany przez niektórych Mr Stan (nie wiadomo czy ze względu na brzuch czy pucołowatą twarz w kropki koloru późnego bakłażanu) wrócił do swojej pracy. I szarego

życia. Życia bakłażaniarza jest bowiem niemiłosiernie nudne, gdyż każdy dzień mija mu na zliczaniu kilometrów pokonanych swoim pojazdem służbowym i odejmowaniu ich od dni straconych. Tym razem jednak miało być inaczej. Jasiek Rottenberg przechodził właśnie koło samochodu Romana, gdy ten w furii odwrócił się i cisnął zepsutą nagrzewnicę w kierunku chłopaka. Żółty kot stracił trochę sierści. Żółty kot? Roman skądś znał to określenie. Żółty kot, żółty kot.... Zaraz, gdzie to było? Aha, warsztaty dziennikarskie z czasów jego młodości! Jacyś trzej wariaci wydzierali się o tym na całą salę. – I w tej chwili nie mógł się nie roześmiać. Zbyt komiczna była wizja akcji owej grupki, gdy dorwali się do mikrofonu pani redaktor i...

„Kup pan bułkę,

piwo żółte.

Domy ciasne,

piwo jasne.

Ta kosiarka

- piwo „Warka". – śpiewał pierwszy na melodię „Wlazł kotek na płotek..." w tylko sobie znany sposób.

Wtórował mu drugi (melodia improwizowana):

„Nasze własne

piwo jasne.

Wszystko robota

żółtego kota.

Domowe piwo

popijaj żywo.

Najlepsza marka

- piwo „Kosiarka."

Z jakiej oni byli szkoły? Nie mógł skojarzyć faktów. Zbyt daleko odleciały jego myśli, zbyt małą pojemność miała jego dusza, zbyt wielkie było natężenie hałasu docierającego z wylotu na Warszawę, by stojący przy ulicy Zapolskiej mężczyzna mógł to wytrzymać.

Koledzy – zebranie partyjne dopiero się rozpoczynało. Uff, zdążył. Zziajany wpadł i zajął miejsce w jednym z ostatnich rzędów. Szedł wykład o krowach i pstrągach. „Gospodarka centralnie planowana w warunkach nienawistnych spojrzeń kapitalistów." Roman przepisał temat pierwszej prelekcji i zaczął myśleć, kto należy do kasty nienawistnych. A pełno ich było. Mogli być wszędzie. Każde ukradkowe spojrzenie, każdy fałszywy gest, każde kłamliwe słowo, budowało szansę na zniszczenie święta mas pracujących (w liczbie osób dwudziestu, z czego połowa zdążyła już usnąć). Towarzysz Roman słuchał jednak uważnie. Każde słowo chłonął z hygroskopijnością baryłki ropy leżącej na prospekcie Lenina w stolicy Rosji. Był, cóż, był osobą samą w sobie. Niesamowitym wyjątkiem od reguły bezmyślenia. On nie bezmyślał, aby żyć, ale żył, aby bezmyśleć. Ta egzystencjalna tajemnica stanowiła największy problem pana Romana. Ręka chodziła jednak nieustannie. Każde słowo, dźwięk, a nawet westchnienie prelegenta, lądowało w notatniku służbowym naszego bohatera. Te fundamentalne prawa rządzące obecną rzeczywistością były jednak niczym, gdy przypominał sobie stare czasy, spędzone w szkole na Czwartku. Jak to Figura zmywał gąbką kredę pod tablicą. Tak, wydarzenie to przeszło do historii. Albo kiedy indziej, gdy na lekcji języka angielskiego wstał z ławki i wydawał komendy kolegom, którzy zaczęli ustawiać ławki do góry nogami. „Wszystko na odwrót." To były słowa Figury. Wszystko na odwrót... A gdyby tak... Tak, tico zadziała, nagrzewnica będzie chodzić, a Bhutan zagości w domu na Sławinku. I wtedy zobaczył inny obraz, pierwsze piętro, sala 113. I znów Figura – tego człowieka nie dało się opanować. Klasówka, druga gimnazjum, jakiś marzec, może kwiecień. Pani rozdaje sprawdziany. Ten wariat jednak nie dostaje swojego. I nagle, jak gdyby natchnionym głosem, myślą jakąś sponad wieków, od biurka odzywa się głos. Ale jest to już głos inny, głos, który winien nie objaśniać prawidła nauk ścisłych, a dociekać tajemnic człowieka na języku polskim. Słowa te wyryły się w pamięci pan Romana złotymi zgłoskami. Musiały, pamiętał je dobrze. „Dopóki żyłem wędrowałem trupem, a teraz ze mnie powionęło duchem, duchem nad Termopile." W owej sytuacji innym zdawałoby się może, że śnią, ale nie klasie pana Romana. Ta bez większej refleksji wybuchnęła śmiechem. Ale mimo to wydawało się, że będzie to jedynie kolejny niezwykły epizod zapamiętany z tego przedmiotu. Jednak burza miała okazać się jeszcze większa. Oto, pełna teatralnego zacięcia nauczycielka wyszła na środek sali. Zaczerpnęła oddechu i, widząc przerażenie tego rewolucjonisty,

zaczęła czytać. „A potem nas budzi chłód poranka i pewność się wyłania z mgły, że ta dziewczyna śpiąca obok to znów nie ty, nie ty, nie ty.” Nie pozwolił jej dokończyć wersu. Wiedział, co kryje się dalej. Nie chciał, by wydarzyło się coś takiego. W sytuacji braku innej możliwości cisnął sweterek przez ławki i pokonał trzy one jednym skokiem, rozrywając sprawdzian i wprawiając w osłupienie całe zgromadzenie. Nie mógł dopuścić by to wszystko było przeczytane. Dość było, że siostra Anna usłyszała z ust Marka „Kochałem panią...” Gdyby Figura był wówczas w szkole... Ale przecież nawet Roman nie mógł wówczas wiedzieć, że chodziło o pewną Gabrysię z klasy... yyyy..., znaczy, zapędził się pan Roman przy wspominaniu dziejowych wydarzeń. I jeszcze ten mundurek lecący w kierunku pani i skok przez trzy ławki. W locie wyglądał jak lew z rozwianą grzywą, gdyż miał jeszcze włosy do połowy pleców. Cała ta sytuacja, to, co napisał. Rozdarty sprawdzian. Nierealne, prawda? Kto nie widział – nie wierzy, kto widział – nie opowiada, którzy wierzą, choć nie widzieli – nie są normalni. A na matematyce rozdawał „Leniny”...

Obraz rozpływał się. A Jasiek Rottenberg trzepał pana Romana w oba policzki.

– Raz i dwa, raz i dwa, krzywa piłka do Sancheza, będzie kontra Suareza... Raz i dwa, raz i dwa. – chłopak zapamiętale wykonywał swoją powinność, a Roman zauważył właśnie siedem wiader wody, gotowych by schłodzić jego czerep. Nie chciało mu się zmieniać pozycji (nawet pomimo faktu policzkowania), ale zmuszony był to uczynić. Gdy chłopak sięgnął po ten znany alegoryczny symbol, Roman przeraził się.

– O, nie! Co to, to nie! Nie, tego nie zrobisz! O, nie!

– O, obudził się pan. Bardzo dobrze, myślałem, że będę musiał sięgnąć po coś mocniejszego. Widział pan tego żółtego kota? Ładny jest, prawda? – jednak pan Roman już nie słyszał. Zdezorientowany pierwszym pytaniem upadł na wiadro, które zalało jego twarz. Widniały na niej jeszcze ślady nerwowości. Żółty kot? Nie chciał w to uwierzyć.

■

Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki.
Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com